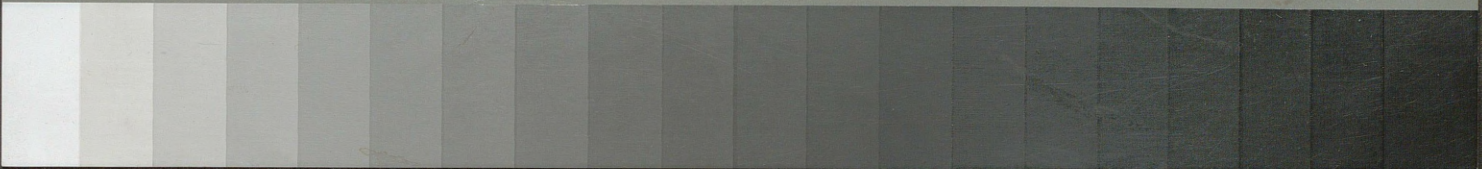


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



2.



# WOLNA BIBLIOTEKA POLSKA

MAURYCY MOCHNAKCI.

\*\*

## NOC 29 LISTOPADA

r. 1830.

WARSZAWA.

Spółka Wydawnicza „Odrodzenie“.

1915.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI  
W Jakowickiego, Warszawa, Bracka 10.

z Konepajacka



2.



WOLNA BIBLIOTEKA POLSKA

M. AURYCY KOCHNACKI.

— \* \* —

NOC 29 LISTOPADA  
r. 1830.

—  
WARSZAWA.

Spółka Wydawnicza „Odrodzenie“.

—  
1915.

SKŁAD GŁÓWNY w KSIĘGARNI  
W. Jakowickiego, Warszawa, Bracka 10.

WOLNA BIBLIOTEKA POLSKA. 2.

MAURYCY MOCHNAŃSKI.

— \* \* —  
\* \*

NOC 29 LISTOPADA

r. 1830.

№ inwentarza

174

Jerzy Hulebi.

WARSZAWA.

Spółka Wydawnicza „Odrodzenie“.

1915.

45(138)9 : 556.98(138)10

WYDZIAŁ BIBLIOTEKI I MUSEUM  
MIASTA MOCHNA  
MOC 29 LISTOPADA

Dziółko niniejsze jest przedrukiem rozdziału I księgi II  
Mochneckiego  
„POWSTANIA NARODU POLSKIEGO w r. 1830 i 1831.“

17423/1



Nad wieczorem dnia 29 listopada 1830 r., gdy się zbliżała umówiona pora do działania, cywilni spiskowi, którym poruczono rozpoczęcie ruchu napadem na Belweder, szli po dwóch, po trzech, różnymi drogami do lasku Łazienkowskiego, jedni z ukrytą krótką bronią palną, drudzy bez broni, ponieważ wszyscy spodziewali się dostać karabinów ze szkoły podchorążych. Niebo było pochmurne ten cały dzień, tak że zmierzch i noc prawie bez przedziału w jeden moment przypadły. W Łazienkach po prawej i lewej stronie posągu króla Jana zejść się mieli ci waleczni młodzieńcy na pół godziny przed terminem; miało ich być wszystkich czterdziestu; lecz różne okoliczności, jak zaraz obaczymy, więcej niżeli o połowę tę liczbę zmniejszyły. W rozległej stolicy Polski oddziały garnizonu były jedne od drugich bardzo oddalone. Za hasło do wspólnego, jednoczesnego działania, o czem wszyscy w wigilją zostali uprzedzeni, miał służyć pożar browaru na Solcu; po tym dopiero znaku z południa, plan sprzyśnięzonych zalecał podpalenie dwóch drewnia-

nych budowli w przeciwnej stronie: w bliskości koszar gwardyi Wołyńskiej na Nowolipiu. Tą podwójną łuną oddziały garnizonu polskiego ruszone ze wszystkich punktów, z koszar Alexandryjskich czyli Mikołajowskich, Sapieżyńskich i Ordynackich, tudzież z kwater w mieście i głównych wart, mogły z łatwością w jednej chwili rzucić się na nieprzygotowanego nieprzyjaciela, bądź w tych samych koszarach, bądź gdzieindziej, rozbroić go i wziąć w niewolę, a potem wskazane pozajmować stanowiska. Tak chciał mieć plan przepisany dla działań tej nocy, plan dobrze pomyślany, rozważony gruntownie i sądząc z wyższości sił naszych łatwy do wykonania. Wszakże los psotny, który się śmieje z ludzkiej przeczności, tylko co wszystkiego na samym wstępie w niwecz nie obrócił. Czy zegar łazienkowski szedł prędzej od miejskich zegarów, czyli też dwaj podchorążowie wyprawieni do wzniesienia pożaru na Solcu zbyt skwapliwie chcieli się uiszczyć z tego obowiązku: dość że hasło do wspólnego działania i zawczasie i źle było dane, to jest chybiło w porze umówionej. Ogień na Solcu błysnął na pół godziny przed szóstą, a zgasł o szóstej. Browar, stary, na wpeł zbutwiały budynek, nasamprzód wcale nie chciał się zapalić. Wysocki zapóźno, bo dopiero dnia 28 listopada, żądał palnych materiałów od Karola Stolzmana, poręcznika artylerji, adjunkta w dyrekcji młyna prochowego. Żądał tego w niedzielę, kiedy pracownia ogniów wojennych była zamknięta, a powinien był, jak

obiecał, porozumieć się w tej mierze ze Stolzmanem na kilka dni pierwej. W braku tedy palnych materiałów, mogących ułatwić to przedsięwzięcie i skutek jego uczynić niewątpliwym, dwaj podchorążowie musieli użyć słomy. Ogień wszczynał się z wielką trudnością i daleko pierwej nim wszyscy z oddziału belwederskiego zdążyli przybyć do Łazienek: co naturalnie zaraz ich zmieszało, i na różne opaczne naprowadzało domysły. Nabelak z Goszczyńskim spieszyli wtedy od głównej alei ku miejscu zgromadzenia akademików. W drodze ostrzegają ten przedwczesny ogień, a w Łazienkach zastają ledwo kilkunastu z tych co mieli przybyć. W tej samej chwili uderzono na trwozę ogniową w pobliskich koszarach. W mgnieniu oka powstaje niezmierny ruch naokoło. Posyłki konne i piesze przebiegały lasek we wszystkich kierunkach, z Belwederu do koszar, z koszar do Belwederu; namnożyło się światła między drzewami, na odwachach dzwoniono i warty występować zaczynały. Za czasów carewicza służba ogniowa była dobrze urządzona. On sam miał we zwyczaju dojeżdżać do każdego pożaru czy we dnie, czy w nocy; mógł więc i tą razą wypaść z Belwederu. Z kilkunastu przybyłych akademików ledwo kilku zostało wśród tego zamieszania; nareszcie i ci się rozproszyli w różne strony, żeby nie wpaść w ręce żołnierzy i policyantów. Ten alarm trwał w Łazienkach przeszło pół godziny.

Zawczesny i słaby ogień w browarze zgaszono bez wielkiej trudności. Ta okoliczność, jakkolwiek drobna, stawia sprzysiężenie w najprzykrzejszem położeniu i rodzi wszystkie złe skutki, jakie koniecznie z braku jednoczesności w działaniu na tak obszernym teatrze wyniknąć musiały. Od tej chwili wszystko idzie oporem: związkowi w południowej części miasta, koło Belwederu i koszar jazdy moskiewskiej nie mogli dać znać o sobie związkowym na tylu innych punktach stolicy. Ci, niepostrzegając sygnału z południa, rozumieli że tam się jeszcze nic nie stało i nie zaczęli działać; po terminie upływało więc dużo czasu, — i oto jedno nic, pochodzące z roztargnienia Wysockiego, naraża całą sprawę, naraża przyszłość powstania.

Po chwili wszystko jednak znowu ucichło w Łazienkach. Rozsypany oddział zaczął się zgromadzać. Spiskowi wychodząc z za drzew pytają jeden drugiego o nazwisko, ale co dalej począć w tak szczupłej liczbie, po obudzeniu czujności nieprzyjaciela, nie wiedzą. Z krótkiej narady, którą wtenczas odprawili między sobą, wypadło, aby Nabelak poszedł na zwiady do szkoły podchorążych — o paręset kroków od mostu Sobieskiego. Udał się on tam, ale z niczem powrócił. Wysocki bawił jeszcze w mieście; nie nadeszli i ci dwaj podchorążowie, którym browar zapalić polecono. Szkoła była równie jak oddział belwederski zatrwożona; najbardziej lękali się podchorążowie, aby tych podpalaczy nie schwytano. Nastąpiła

tedy druga pauza, przeciągła jak wiek, pauza nieczynności i oczekiwania wśród przyspieszonego krwi obiegu. Już godzina upływała od chwili naznaczonej do rozpoczęcia ogólnego ruchu! Chybiony sygnał, który miał wzruszyć całe miasto, który miał z miasta zapewnić pomoc podchorążym, demoralizował szczególnie młodych akademików, dość odważnych żeby się rzucić pierwszym zapędem i w największe niebezpieczeństwo, lecz przy zimnej refleksji, do czego tyle czasu mieli, zaczynających już mierzyć otchłan bez gruntu, co się przed nimi roztwierała. Ta przewłoka nastrajająca wysoko żywą, młodocianą fantazyę, była bolesna. Nabelak i Goszczyński idą powtórnie do szkoły podchorążych. Napróżno — i tą razą żadnej jeszcze znikąd wiadomości. Dopiero wracając spotykają Wysockiego przybywającego z miasta w towarzystwie Szległa, Dobrowolskiego, Paszkiewicza i Rottermunda. Wysocki z dwoma pierwszymi pobiegł zaraz do szkoły; Paszkiewicz i Rottermund woleli połączyć się z wyprawą na carewicza. Od tej chwili inny duch wstąpił we wszystkich. Wyniesiono karabiny podchorążych Moskali, którzy udawali, że nie postrzegają tego co się około nich działo. Gdy się szkoła uzbrajała, Nabelak i Goszczyński nabijali broń i obliczali swe siły: było wszystkich ośmnastu z Paszkiewiczem i Rottermundem, tudzież dwoma podchorążymi Trzaskowskim i Kobyłańskim, którzy oddział prowadzić mogli jako dobrze znający Belweder we środku. Rozdzielili

się na dwie równe części. Jedna część, pod komendą Trzaskowskiego, udała się w górę drogą ku rogatom Mokotowskim, żeby wpaść do Belwederu od frontu przez główną bramę. Tężsi, silniejsi z postawy składali ten oddział, bo odwagę moralną mieli wszyscy jednaką. Drugą część, pod dowództwem Kobylańskiego, ruszyła do ogrodu Belwederskiego, aby działać z tyłu pałacu na wypadek jeżeliby *ptaszek*, jak się wyrażali spiskowi, wyleciał do ogrodu \*).

Oddział od frontu dochodząc do bramy podwoił kroku i nagle z przerażającym okrzykiem „*śmierć tyranowi!*“ wleciał na dziedziniec. Kilka osób tam będących uciekło natychmiast i przymknęło za sobą drzwi środkowe. Jeden z oddziału uderzył w te drzwi kolbą, i przy pomocy innych wysadził je z zawias. Potłuczono szyby w dolnych oknach, przy ciągłym wołaniu: „*śmierć tyranowi!*“ Już natenczas szedł ogień od koszar z ręcznej broni, co domowników księcia do reszty przeraziło, a napadającym dodało ducha. Wtłoczyli się do głównego korpusu oknem i drzwiami. Głuche naokoło milczenie! Żadnego oporu, żadnego ruchu w całym pałacu. Wpadają na górę, odmykają, a raczej wy-

---

\*) W oddziale od frontu byli: Trzaskowski, Nabelak, Goszczyński, Zenon Niemojowski, Roch i Nikodem Rupniewscy, Orpiszewski, Jankowski i Nasiorowski; w oddziale od ogrodu: Kobylański, Paszkiewicz, Poniński, Edward Trzciański, Edward Rottermund, Świętosławski, Krosnowski, Rettel i Kosiński.

łamują jedne drzwi po drugich, z jednego do drugiego przechodzą pokoju — nigdzie żywej duszy. Czynią niezmierny hałas, wszystko wywracają w siedzibie tyrana, lecz jego samego nie znajdują. W przysionku sali audyencyjnej wysoki mężczyzna stoi przyczajony za drzwiami na pół otwartemi; zdawał się chcieć uniknąć niepochybnej zguby. Poznany i pchnięty kilku bagnetami pada na posadzkę, lecz nie umiera, bo go tylko niewprawne jeszcze ręce dotknęły. Byłto wiceprezydent miasta Lubowidzki, którego zła gwiazda na chwilę przed tym napadem sprowadziła do Belwederu, z pewną już wiadomością o mającej wybuchnąć rewolucyi. Powstanie zastało carewicza śpiącego. Za pierwszym na dole okrzykiem, kamerdyner Kochanowski budzi go, przecierającego jeszcze oczy porywa gwałtem z łóżka i wpycha do gabinetu, skąd tajemne schody prowadziły do lewego pawilonu księżnej Łowickiej; uczynił to w samą porę, gdyż zaraz potem kilku spiskowych wpadło do tegoż gabinetu. U księżnej miała miejsce malarska scena. Ledwo nie u stóp Polki, której tron poświęcił, szukał Konstanty ratunku przed Polakami. Cały dwór niewieści był tam już zebrany: gdy carewicz wbiegł do pokoju księżnej w nieładzie nocnego odzienia, kazała ona pokłękać kobietom w około niego, i na głos odmawiać pacierze, pewna, że śród zastępu silnego modlitwą i płcią żadna go zemsta z rąk polskich nie dosięgnie. W takiej postawie, z gestami okazującymi bojaźń

największą, z wejrzeniem obłąkania, zostawał w tem gronie przez kilka minut, nieprzytomny, blady i słowa wyrzec niemogąc. W godzinę jeszcze potem drżał jak liść, a wsiadającemu na konia musiano nogę w strzemię zakładać. Oddział zemsty narodowej, splądrowawszy całe górne i dolne pomieszkanie prócz pawilonu księżnej Łowickiej, jak wleciał tak wyleciał z pałacu pędem wichru, lecz pierwej na dziedzińcu jedną jeszcze ofiarą swe odwiedziny uczynił pamiętniejszemi. „Najnikczemniejszy z nikczemnych,” jak go sam wielki książe nazywał, nieodstępny towarzysz, koniuszy, pierwszy faktor carewicza, jenerał Gendre spieszący do pobliskich stajen wpadł wtedy w ręce spiskowych. Krzyczał ze wszystkich sił swoich „*je suis général du jour*,” lecz to nic nie pomogło: otrzymał bagnetem w piersi raz głęboki, śmiertelny. Cała wyprawa i kilkunastu minut nie trwała. Młodzież, naznaczywszy krwią podwoje carewicza, obróciła się z Belwederu w prawo, i przez ogród botaniczny zmierzała szybkim krokiem do mostu Sobieskiego. Tu nastąpiło połączenie całego oddziału z podchorążymi, gdyż i druga część niemając nic do czynienia w ogrodzie cofała się ku tej stronie, położywszy trupem jednego z warty ogrodowej, który biegł do pałacu z wiadomością o przybyciu niespodziewanych gości. Tylko co Nabielak i jego towarzysze zdążyli ująć paręset kroków od pałacu, gdy silny tentent koni na drodze z Łazienek do rogatek Mokotowskich przekonał

ich jak szczęśliwie, jak cudownym prawie sposobem wielkiego uniknęli niebezpieczeństwa; albowiem wtenczas właśnie jedna część z rozbitych przez podchorążych kirysjerów, przybyła galopem pod Belweder, otaczając pałac z przodu i z boku od ogrodu botanicznego. Jeszcze tedy kilka minut dłużej a nikt nie byłby żywy wyszedł z oddziału, który wpadł od frontu.

Kiedy rewolucja w pierwszym poruszeniu swoim nawiedzała Belweder i brata potężnych carów północy spłaszała z pościeli, podchorążowie wiedli bój krwawszy, zaciętszy z przemagającymi siłami. Wysocki, jako się wyżej rzekło, wszedł do szkoły, przerwał lekcję teorji, wykładaną jak zwykle o tej porze, i dobywając szpady zawołał donośnym głosem: „Polacy! Godzina zemsty wybiła, dzisiaj zwyciężymy albo polegniemy—nadstawmy piersi nasze wrogom, aby były dla nich Termopilami!“ Rozległ się w sali okrzyk: „do broni, do broni!“ Dzielni młodzieńcy rozebrali ostre ładunki które Szlegel przyniósł, nabili karabiny i daleko prędzej niżelibym to opisać zdołał, wzięli szyk bojowy na dole. Było ich wszystkich stu sześciudzieściu i kilku; każdy z nich znał komendę brygady i dywizji jak generał, a robił bronią jak szermierz. Zręczniejszych tyraljerów, celniejszych strzelców pewnie żadne wojsko nie miało. Teraz szli się odpłacać Moskalowi za długą naukę na Saskim placu! Na czele tej kolumny uczonych atletów postępował Wysocki wprost do koszar trzech pułków jazdy nieprzyjaciel-

skiej. Koszary te, bronione przez piechotę, mogłyby być niezdobytą warownią; ale dla jazdy choćby kilkotysięcznej, napadniętej przez jeden tylko bataljon piechoty, były stanowiskiem niedogodnym i niebezpiecznym. Zawierały wewnątrz kilkadziesiąt podłużnych stajen i mnóstwo mniejszych pomiędzy nimi domków, gdzie żołnierze mieli swe kwatery. Czerwone dachy, poręczce, chorągiewki w około stajen i długie regularne ulice między nimi użyczały temu ogromowi pozoru oddzielnego przedmieścia na Solcu. W środku między budynkami było kilka dziedzińców wysypanych piaskiem, tak obszernych, że dwa i trzy szwadrony mogły razem odbywać swe obroty. Całą przestrzeń opasywał do koła szeroki i głęboki kanał, napełniony wodą, dla konia nieprzeskoczny. Prócz tego jedne koszary od drugich oddzielały cokolwiek mniejsze kanały, na których było kilkanaście drewnianych mostków. Podchorążowie zbliżając się do tego miejsca strzelili na wiatr, tak dla sprawienia popłochu w jeździe moskiewskiej, jako też dla uwiadomienia kompanji mających przybyć z miasta, że walka już się zaczęła. Te to strzały towarzyszyły wpadającym do Belwederu. Podchorążowie skoczyli zaraz potem w środek koszar ułanów cesarzewicza; już ich trzechset zastali na koniach w szyku do szarży. Nie czekając ani chwili młodź polska postąpiła ku nim na pół strzału karabinowego i z tej odległości, gdy każdy jeźdca albo konia na cel bierze, zaraz spę-

działa z miejsca ten oddział jazdy. Ułani sformowali się za chwilę, i kłusem ruszyli naprzód; wtedy podchorążowie z mniejszej jeszcze odległości, sypiąc ogień na jedną komendę, zszedli z konia kilkunastu ludzi, reszta pierzchła w największym nieładzie, który pomnażały kule gęsto padające między tłoczących się w przeprawie przez mostki. Noc była ciemna; rozumieli przeto Moskale, że najmniej parę tysięcy piechoty mają za sobą. W istocie, trwoga, zamieszanie były tam tak wielkie, że najwięcej dwie kompanje, zachodząc natenczas z przodu od miasta, mogły były łatwo rozbroić tę całą jazdę i zabrać ją w niewolę. Lecz gdy Wysockiemu żadna znikąd pomoc nie przybywała, kirysjery i huzary mieli dość czasu wsiąść na konie i w porządku wyjść z swoich koszar, żeby naszych otoczyć i odciąć od miasta. Ta okoliczność, po części i brak ostrych ładunków, zmusiły podchorążych do cofnienia się ze zdobytych, pustych koszar ułańskich.

Ten pierwszy czyn niezrównanego męstwa przeraził, potem i zadziwił nieprzyjaciela, gdy tenże nakoniec postrzegł, że go taka garstka wyrzuciła z koszar. Wysocki zajął stanowisko za mostem Sobieskiego. Tu przedsięwziął oczekiwać bratniej pomocy; tu nadstawiał ucha rychło-li zagrzmia z pagórka nad koszarami Radziwiłowskiemi cztery działa Nieszokocia, jak miało być według umowy. Żeby o tych działach i o kompanjach wyborczych powziąć jakąkolwiek wiadomość, wysyła nareszcie pod-

chorążego Kamila Mochnackiego z poleceniem przynaglenia tej pomocy, jeśliby już nadciągała. Lecz Mochnacki wrócił za chwilę i tę tylko przyniósł wiadomość, że zamiast polskiej piechoty postrzegł kirysjerów, którzy zewsząd otaczają podchorążych dla przecięcia im drogi do miasta, Wysocki postąpił kilka kroków naprzód i sam się o tem przekonał. Trzeba więc było zwieść jeszcze krwawą potyczkę dla wyratowania się zpośród nieprzyjaciół. Dwie drogi prowadziły do miasta od mostu Sobieskiego: jedna wprost pod górę, a potem przez główną aleję, druga zaraz w prawo po za gmachem ujazdowskim do *Wiejskiej łąki*. Kirysjery zajmowali obiedwie w szyku do szarży. Wysocki daje rozkaz natarcia z bagnetem na obadwa oddziały. Sam z kilkunastu podchorążymi rzuca się w prawo przeciwko konnicy, co zajmowała trakt boczny. Walka trwała tylko jeden moment. Podchorążowie rozsypując się i gromadząc, obyczajem tyraljerskim, nacierając i ustępując w miarę jak tego miejsce dopuszczało, strzelając z rowów, z po za drzew, z przodu i z boku rozpędzili kirysjerów, — a potem zebrawszy się postępowali drogą za Ujazdowem. — Część rozbitej jazdy poleciała galopem do Belwederu wtedy właśnie, kiedy stamtąd spiskowi wychodzili, druga część z tyłu niepokoiła podchorążych, którzy mając wolną drogę przed sobą pomykali się naprzód śród ciągłych, zawsze odpieranych napadów kawaleryi. Dochodząc do *Wiejskiej łąki* młodzież nasza po-

strzegła przed sobą nowego nieprzyjaciela, szwadron huzarów, który w tej samej chwili ruszył kłusem od głównej alei na czoło małej kolumny Wysockiego. Położenie podchorążych było wtedy najkrytyczniejsze. Z tyłu parci przez kirysjerów, z przodu zagrożeni od huzarów, (których cały pułk stał na odwodzie na polu za owym szwadronem) pół obrotem w lewo od *Wiejskiej kawy* dopadli szczęśliwie koszar Radziwiłłowskich, budynku niedokończonego, gdzie z okien i z bramy ubili Moskałom kilku jeszcze ludzi i koni. Tu Wysocki miał myśl zatrudnienia sobą jak najdłużej jazdy nieprzyjacielskiej, żeby nie wpadła do miasta, coby oczywiście zaszkodziło rozpoczynającym się tam ruchom i utrudziło opanowanie celniejszych punktów. Mniemał także, iż się przecię choć w oblężeniu doczeka artylerji i kompanji wyborczych. Lecz nakoniec, gdy zupełnie zabrakło ładunków prawie wszystkim podchorążym, a przed bramą coraz gęstszy hufiec jazdy skupiać się począł, zostawało mu tylko bagnetem otworzyć sobie drogę do miasta. „Oblegają nas!“ krzyknęli podchorążowie, otworzyli przeto bramę, i rzucili się na huzarów. Ale i ten trzeci oddział jazdy, jak dwa pierwsze, nie dotrzymał placu ich natarczywości.

Nic odtąd nie utrudzało zwycięskiego pochodu podchorążych. Koło kościoła Aleksandra spotykają *Stasia* Potockiego; lecz niewiedząc, że on był głównym sprawcą niebezpie-

czeństw, na które ich naraził brak pomocy w nierównej walce z całą prawie jazdą carewicza, niewiedząc, że ten generał najwięcej przyczynił się do oddania w moc wielkiego księcia sześciu kompanji wyborczych, które przed chwilą *Nowym Światem* do Łazienek zmierzały, a zatem że niebyło nadeń występniejszego człowieka, a przynajmniej Polaka, otoczyli go do koła, i pewni, szczęśliwi, pyszni niemal, że po czynie godnym zasłynąć w późnej pamięci, mieć będą na swem czele jednego z towarzyszków Kościuszki, wzywali go uprzejmymi wyrazami: „Generale, prowadź nas dalej przez miasto!“ Rzecz pewna, że Potocki na czele podchorążych byłby odrazu wysoko podniósł sprawę rewolucyjną. Wysocki i Szlegiel nieomieszkali połączyć swych próśb z przełożeniami podchorążych. Zaklinali go uroczyście w imię Ojczyzny, przez pamięć na więzy Igelstroma, lecz nic nie mogło zmiękczyć umysłu zaciętego w uporze zgubnym dla kraju. Potocki zdawał się walczyć z samym sobą: czy ma dalej gubić sprawę ojczystą, czy rzucić się w objęcie młodzieży, która go poważała, któraby mu była przebaczyła wszystko cokolwiek działał już przeciwko narodowi. Zapewne musiała przemódz pierwsza rezolucja, gdyż odprawił Wysockiego i podchorążych bez odpowiedzi, a sam został na punkcie komunikacji między miastem i Belwederem, gdzie nie jedną jeszcze oddał usługę carewiczowi — nim go za tę nieposzła-

kowaną wierność z rąk braterskich krwawa spotkała zapłata \*).

Postępując przez Nowy Świat, gdzie wyżsi oficerowie i urzędnicy moskiewscy mieszkali, oddział Wysockiego napróżno usiłował wołaniem „do bronii!” przerwać milczenie, które jeszcze panowało w tej części miasta. Lecz i dalej, na Krakowskim Przedmieściu, nie było ani ludu, ani wesołych okrzyków, ani świateł, ani orężnego zgiełku, choć to wszystko powinno było mieć miejsce w pierwszych chwilach wyjarzmiającej się swobody. Jakby nic się

---

\*) Wysocki był uprzedzony przez Zaliwskiego, że Potocki zobowiązał się słowem honoru nie tylko przystąpić, lecz w pierwszej chwili stanąć na czele sprawy narodowej, gdyby innego nie było dowódcy; dla tego nie aresztował go pod kościołem Aleksandra, jak powinien był uczynić. Wysocki mniemał, że się jeszcze namyśli. Że Potocki wiedział o rewolucji, zaprzeczeniu nie podpada; ale czy w rzeczy samej przed rewolucją przyrzekł swój akces związkowi i jak dalece oświadczał się w tej mierze — trudno dzisiaj powiedzieć coś o tem pewnego, bo Zaliwskiemu wierzyć nie można. Zaliwski dla nadania sobie większego kredytu w związku, dla sprawienia w opinii innych związkowych wyższego wyobrażenia o swych wpływach, znajomościach, konneksjach, zaręczał nieraz za akces osób, z którymi nigdy nie mówił, których i nie znał wcale. Temu błahemu urojeniu Zaliwskiego jakoby człowiek mały sam przez się, mógł urość w mniemaniu innych przez stosunki n. p. z generałami i wysokimi urzędnikami, przypisać trzeba wszelkie bajki o porozumieniach z Potockim, Żymirskim, Krukowieckim i t. d., które rozsiewał pokątnie w związku, a które potem za granicą dość bezczelnie powtórzył w małym piśmie, gdzie niemasz ani ednego słowa prawdy.

nie stało, — jakby nic stać się nie miało, tak głu-  
cha, tak przerażająca cichość ogarnęła te okoli-  
ce. Miasto spało! Cóż mogło bardziej zatrwa-  
żać i jątrzyć tę młodzież? Zdawało się jej na-  
tenczas, że sama jedna powstała. Temu uczu-  
ciu, tej potrzebie przebudzenia stolicy ze snu,  
poczęści i poprzedniemu uporowi Potockiego,  
przypisać trzeba wydatne ślady krwi, którymi  
szkoła podchorążych naznaczyła dalszy swój  
pochód do arsenału. Zamiast dzwonów, śmierć  
miała tedy uderzyć na głośną trwogę w War-  
szawie. Ofiara tego naturalnego usposobienia  
umysłów — generał Trębicki, któremu Konstancy  
poruczył był od kilku dni szczególny nadzór  
nad szkołą (nadzór dopełniony z całym rygo-  
rem służby), zmierzając wtedy właśnie ku Ale-  
jom, wpadł w ręce podchorążych. Wiedzieli  
gdzie idzie, bo i sam tego nie ukrywał przed ni-  
mi. Wszelako ceniąc w nim niepospolite zdol-  
ności wojskowe i nie przypuszczając aby w tak  
stanowczej chwili trwał w szkodliwych zamy-  
ślach dla Polski, chcieli go nawrócić, pozyskać  
dla narodu, jakkolwiek pierwiej ostro się z nimi  
obchodził. „Jenerale“ — mówili mu tymi samy-  
mi wyrazami, co Potockiemu, — „prowadź nas  
dalej!“ Gdy nie chciał, przydano do próśb su-  
rowsze napomnienie, nakoniec wrywającego  
się wzięto w środek i kazano iść ze sobą pod  
eskortą. Trębicki, duch podniosły, hardy, szedł  
z przymusu, nie szczędząc jednak po drodze  
odkazów, nawet pogroźek, jeśliby nie złożyli  
broni i nie zdali się na łaskę carewicza, za jego

pośrednictwem. W tem koło pałacu Namiestnikowskiego zajeżdża im z przodu drogę Hauke, minister wojny, w towarzystwie swego szefa sztabu Meciszewskiego; pierwszy ostro przemówił do podchorążych, drugi, więcej jeszcze porywczy i więcej znieawidzony, dobył z olster pistoletu i strzelił: obadwa polegli natychmiast. Rautenstrauch, który trzeci jechał za nimi, na odgłos pierwszego wystrzału poskoczył w prawo na ulicę Trębacką — i tem się ocalił. Cokolwiek dalej nadjechała kareta. Na zapytanie podchorążych: „kto jedzie?“ odpowiedział stangret: „Jenerał Nowicki.“ Zaraz kilka kul przeszło pojazd. Ten nieszczęśliwy jenerał, któremuby się nic złego nie stało, zginął przez pomyłkę; przesłyszało się bowiem podchorążym, którzy wzięli *Nowickiego* za *Lewickiego*, Moskala, gubernatora. Po tych czynach rewolucyjnego terroryzmu, orszak zbryzgany krwią zatrzymał się na ulicy Wierzbowej. „Jenerale“ — przemówili znowu podchorążowie do więźnia swego Trębickiego, świadka tych scen okropnych, — „połącz się, zaklinamy cię, połącz się ze sprawą narodu, stań na naszym czele — widziałeś co spotkało *zdrajców*.“ Trębicki odpowiedział z najzimniejszą krwią: „nie stanę na waszem czele, wy jesteście *nikczemni*, wy jesteście *mordercy!*“ I po tych wyrazach ponawiali jeszcze podchorążowie swe przełożenia: „Jenerale, dajemy ci czas do namysłu!“ Prowadzili go przez całą prawie ulicę Bielańską — i znowu się zatrzymali. Tu dopiero, gdy powiedział:

„możecie mi życie odebrać, ale mnie nigdy nie przymusicie do złamania wiary zaprzysiężonej monarsze,“ poległ — bezwątpienia godzien lepszego losu, gdyby był tak nieugiętego charakteru, tak nieustraszonej odwagi nie chciał koniecznie poświęcić najnikczemniejszej sprawie. Już wtedy wojsko polskie było zebrane pod arsenałem. Połączyła się z niem i szkoła podchorążych — straszna w owej porze, wielka.

Popłoch bez stanowczego skutku rozpoczął tedy sprawę na południu, w Belwedrze i w koszarach nieprzyjacielskiej jazdy. Ze wszystkiego, co tu spiskowi zamierzali, nic, prawie nic się nie udało. Konstanty przebywszy chwilę wielkiego niebezpieczeństwa, a większego jeszcze przestachu pośród fraucymeru swej żony, wsiadł na konia, znalazł kirysjerów przed pałacem i powoli w Alejach całą swą jazdę zgromadzać począł. Wtedy dopiero nadciągały z koszar Ordynackich kompanje wyborcze w pomoc szkole podchorążych. Było ich sześć: dwie karabinjerskie pułku 1-go strzelców pieszych, dwie karabinjerskie pułku 3-go strzelców pieszych i dwie grenadjerskie pułku 6-go — tysiąc z górą piechoty. Siła ta, osobliwie przy pomocy artylerji bombardjerów (czterech dział Nieszokocia), mogła była odmienić postać rzeczy, zachodząc z przodu od miasta jeździe moskiewskiej, napadniętej z tyłu przez podchorążych. Teraz przybywała cokolwiek za późno. Z pomiędzy oficerów pomienionych kompanji jedni wcale do związku nie należeli, drudzy

dopiero od kilku dni wprowadzeni, napróżno usiłovali wespół z kilku dawniejszymi spiskowymi odjąć komendę starszym, którzy nie czuli w sobie wielkiej ochoty do działania w duchu sprzysiężenia, bo w nie bezpośrednio nie wpływali. Kompanje ruszyły z koszar dobrze już po terminie. Szły częściami, nie razem. Luźne te oddziały w miarę jak zbliżały się do kościołka Aleksandra odmawiał, bałamucił Stanisław Potocki; demoralizowali je także adjutanci carewicza; nakoniec obstępowała dokoła kawalerja. Tym sposobem jedna kompanja po drugiej dostawała się w moc wielkiego księcia, podczas utarczek podchorążych z kirysjerami za Ujazdowem, z huzarami przed gmachem radziwiłłowskim. Carewicz wyjechał z Alejów na spotkanie tej piechoty; zaczął coś mówić do żołnierzy. Natenczas jeden z oficerów związkowych, Wołoszyński, podporucznik z pułku 3-go strzelców pieszych, porwał za karabin od żołnierza obok siebie stojącego i wziął na cel wielkiego księcia. Konstanty to postrzeża, spina konia ostrogami i odskakuje w bok krzyząc: „strzelaj, strzelaj!“ Wołoszyński chciał dopełnić tego rozkazu, lecz karabin za uciekającym potrzykroć nie spalił. Oficer ten, korzystając z zamieszania, które stąd powstało, przedarł się potem przez Moskali i przybył pod arsenał razem ze Stryjeńskim i kilku innymi kolegami. Mniej skompromitowani zostali przy carewiczu. Wszystko to działo się między godziną 8 i 9. Konstanty porządkował swą jazdę

w Alejach; piechotę polską odprawił w tył ku Belwederowi; najważniejsza zaś, że mógł co chwila posłać po działa do Góry i Skierniewic. Wtem przybywa mu niespodziewana pomoc. Jeden z adjutantów jego, Trębicki (brat jenerała), jak się tylko zrobiło zamieszanie w mieście, kazał uderzyć na alarm w koszarach Mirowskich i z całym pułkiem strzelców konnych gwardji (prócz rozjazdu odbywającego w tym dniu służbę na placu Saskim) ruszył kłusem bocznymi ulicami do Alejów. Niewypowiedziana była radość wielkiego księcia gdy postrzegł szaserów; im się on oddawał niejako w opiekę; „na ich honorze, na ich wierności polegał“ — szczęśliwy, że go przecię nie całe wojsko polskie w złej doli odstępowało. Wyrazy „wdzięczności,“ zapewnienie, że o tym *szlachetnym* postępku cesarz uwiadomiony będzie i inne ujmujące oświadczenia, exagerowane przez Kurnatowskiego, Krasińskich Wincentego i Lzydora, Zielonkę, Skarzyńskiego, zamieniły ten pułk nieszczęśliwy w powolne narzędzie przeciwko insurekcji. Carewicz, pomimo przerażenia z którego jeszcze nie wyszedł, pojął to odrazu, pojął jasno iż mu dalszego bezpieczeństwa raczej w polskiej niżeli w moskiewskiej broni szukać należało. Pułk ten, obrócony przeciwko powstaniu, dawał sprawie pozór domowej kłótni między Polakami; wykrzywił rzecz w samym początku. Kołędzy Krzyżanowskiego, ci najdawniejsi w wojsku spiskowi, czy przez źle zrozumiane uczucie honoru, czy też ze wstrętu

do przedsięwzięcia, które się raz nie udało, byli więcej może w owej chwili jak grodzieńskie huzary, albo podolskie kirysjery usposobieni przelecieć galopem przez miasto, i stratować to co nazywali „jakimś buntem,“ — nie wczesnym dla tego zapewne, że nie przez nich wszczętym, *niepodobnym* dla tego, że w nim nie mieli, albo właściwiej nie chcieli mieć żadnego udziału.

Taki był pierwszy akt 29 listopada. Zamiast rozbroić wyzwaliśmy tylko do walki nieprzyjaciela w południowej części miasta. Ten sam skutek, jak zaraz obaczymy, wzięły poruszenia powstańców w przeciwnej stronie, od rogatek Marymockich i Powązkowskich. Żeby to działanie w środku miasta uczynić więcej zrozumiałem, oznaczę pierwej główne punkty, które zajmowały różne oddziały garnizonu polskiego, i ruchy, które według planu powinny były wykonać.

W niezmiernych koszarach Aleksandryjskich, niegdyś *Koronnych*, na drodze od rogatek Marymonckich ku *Zdrojom*, stał jeden pułk pieszy moskiewski *gwardji litewskiej*. Z nim razem mieściły się tam: grenadjery gwardji polskiej, blisko 2,400 ludzi, dwie kompanje wyborcze 1-go linjowego, dwie 3-go i dwie 7-go linjowego. Większa część tych dwóch ostatnich kompanji zajmowała warty na Solcu i na ulicy Furmańskiej. Z pozostałych sił, według planu, grenadjery gwardji razem z dwoma kompanjami 3 go mieli wpaść z bronią nabitą do sal gwardji moskiewskiej i wziąć ten pułk w niewolę, a

dwie kompanje 1-go wyruszyć w tym samym czasie z koszar, zająć Pragę i opanować tam prochownię i obadwa mosty na Wiśle. Rozbrojenie pułku Litewskiego w koszarach było poruczone Urbańskiemu i innym związkowym; zajęcie Pragi Kiekiernickiemu i Czarnomskiemu. Poniżej koszar Aleksandryjskich na ulicy Zakroczymskiej stał w pałacu Sapieżyńskim pułk 4-ty linjowy, którego pierwszy bataljon i część drugiego zajmowała główne warty w garnizonie. Jedni oficerowie tego pułku mieli polecenie pozostać na tych wartach, drudzy zejść. Julian Zajączkowski i Stanisław Gorecki powinni byli z odwachu na Krakowskiem Przedmieściu wpaść do teatru *Rozmaitości*, aresztować oficerów moskiewskich, którzyby się tam znajdowali, a po dopełnieniu tego alarmować miasto przechodząc ulice aż do arsenału. Miniszewski u Franciszkanów, Grotowski w prochowni na ulicy Mostowej odebrali rozkaz utrzymywania więźniów w porządku, gdyby albo sami na wolność wydobyć się chcieli, albo za pomocą pospólstwa. Reszta 4-go pułku powinna się była zaraz udać z koszar do arsenału. Dwom kompanjom wyborczym 2-go liniowego z koszar na Pociejowie wskazany był do zajęcia plac przed giełdą, a dwom kompanjom 8-go linjowego z koszar u Marcinkanek na ulicy Pivnej, rynek Starego Miasta. Tym więc sposobem po rozbrojeniu pułku gwardji Litewskiej (o czem wątpić nie pozwalała przewaga sił naszych w koszarach Aleksandryjskich) Praga,

Nowe Miasto, Stare Miasto, główne stanowiska w środku, cała część od Wisły znalazłaby się bez wystrzału w mocy powstańców przez samo rozpoczęcie akcji. — W drugim głównym także punkcie, od rogatek Powązkowskich, stał inny pułk pieszy moskiewski, *gardya wołyńska*, w koszarach niegdyś artyleryi, za Królestwa nazwanych *Wołyńskimi*, przy ulicy Dzikiej. Rozbrojenie nieprzyjaciela w tem miejscu ulegało cokolwiek większym trudnościom, niżeli w koszarach Aleksandryjskich, gdyż tu sami tylko stali Moskale, prócz szkoły bombardjerów polskich, niewięcej jak 30 ludzi. Na przypadek ataku mogli go odeprzeć, mogli zamknąć się w koszarach, lub wyjść z działami, których mieli cztery. Związek, dla rozbrojenia lub w najgorszym razie niewypuszczenia tego pułku z koszar obmyślił takie środki. Przy placu Marsowym o kilkaset kroków od gwardji Wołyńskiej stał bataljon saperów w koszarach Mikołajowskich. Temu więc bataljonowi kazano uderzyć na gwardję Wołyńską od pola, w razie jeżeliby wystąpiła z koszar i zmierzała na plac Broni; w tym samym czasie z przodu miał ją atakować bataljon pułku 4-go zbywający od warty, a od arsenału dwie kompanje 5-go linjowego. Od zręcznego wykonania tego ostatniego ruchu zależało zupełne opanowanie stolicy. Lud poruszony z gniazda swego, z Starego Miasta przez cywilnych spiskowych, z innych punktów przez samo występowanie oddziałów garnizonu, miał misję zapełniać otwarte

plac Warszawy, przenosić się w masach z miejsca na miejsce dla ożywienia insurekcji wojskowej, dla udzielenia jej pozoru więcej obywatelskiego, rewolucyjnego. Żołnierze nie potrzebowali do walki jego pomocy, dla tego nie zamierzali mu nawet rozdać broni z arsenału; potrzebowali tylko jego asystencji jako poważnego świadka przy pierwszym uroczystym akcie wskrzeszenia Ojczyzny. Bank, gmachy rządowe, instytuty, składy publiczne, więzienia kryminalne, wszelaka własność, opatrzone zostały strażą, nie mającą mieć w boju żadnego udziału. Cała rzecz w mieście zasadzała się na tem: żeby nieprzyjaciela słabszego zejść niespodzianie, rozbroić albo zetrzeć gdyby stawiał opór. Do godziny drugiej po południu przedsięwzięto potrzebne środki dotyczące egzekucji tego planu, podanego do wiadomości każdego spiskowego. Insurekcja nie miała naczelnego dowódcy. Dowodził każdy niemal podporucznik, każdy spiskowy w swem stanowisku i, rzecz dziwna, wszystko szło najporządniej jakby jedna niewidzialna ręka kierowała tą tak ogromną, skomplikowaną machiną. Brakowało ładunków. W dzień jeszcze Dąbrowski Florjan z 7-go linjowego i Józef Przyborowski z 1-go strzelców pieszych, wzięwszy dwa furgony i dwóch żołnierzy, przybyli do obozu, uwięzili podoficera od weteranów, który miał dozór nad ładunkami w baraku generała Blumera, zmienili pierwiej wartę niby z rozkazu gubernatora, a pytani na rogatek co wiozą, odpowie-

dzieli „że nowe mundury dla wojska.“ Tym sposobem dostarczyli piechocie kilkadziesiąt tysięcy ostrych nabojów, które w sam czas oficerowie roznosili w kieszeniach dla żołnierzy swoich po koszarach.

Przed ogólnym jeszcze ruchem, jak tylko zmrok zapadł, zgromadzać się zaczęli za ogrodem Krasińskich na małym placu koło rajt-szuli o paręset kroków od pałacu komendanta miasta Lewickiego, grenadjery 5-go linjowego wyprowadzeni przez poruczników Czarneckiego i Lipowskiego z kwater na ulicach Wroniej, Łuckiej i Lesznie. Wykonali to bardzo zręcznie i ostrożnie. W mieście panowała największa jeszcze spokojność. Grupy żołnierzy, przechód znaczniejszych nawet oddziałów, nikogo nie zastanawiały, albo jeżeli się kto o to pytał oficerów, odpowiadali, „że pułki występują na parol jeneralny z rozkazu komendanta miasta.“ Szkoła artylerji już była gotowa: bataljon saperów, kompanje wyborcze, warty na wszystkich punktach, oczekiwali z niecierpliwością umówionego znaku. W tej dopiero chwili oficerowie związkowi rozdając ładunki w koszarach Sapieżyńskich i Aleksandryjskich osądzili za rzecz przyzwoitą uwiadomić żołnierza o co idzie i przekonali się z ochoty, jaką wszędzie okazywał do wypędzenia wroga z kraju, że go nie potrzeba było wcześniej wciągać do spisku.

Nareszcie wybiła godzina szósta na miejskich zegarach i nagle wszystkich oczy obróciły się ku Solcowi! W pozornym nieładzie, któ-

ry zwykle towarzyszy pierwszym wstrząśnieniom politycznym, żadne może z wielkich zdarzeń na świecie nie mało w sobie tyle zgody, tyle jedności co rewolucja 29-go. Żaden ruch z publicznego ducha wyprowadzony nie był łatwiejszy do nakłonienia ku jednemu celowi. Pewien jestem, że gdyby była zaświeciła łuna z Solca o tej porze, rozbrojenie nieprzyjaciela w mieście byłoby niepochybnie przyszło do skutku pomimo braku naczelnika i odtąd cała rewolucja musiałaby pójść inną drogą, bo po wzięciu piechoty moskiewskiej cóż innego zostałyby carewiczowi jak broń złożyć? Lecz śnać nie mieliśmy tego w przeznaczeniu naszym, żeby sobie począć odrazu tak silnie i mądrze. Ów pożar na Solcu nie wszczywał się z przyczyn, o których wyżej wspomniałem. Niemało więc czasu upływało w mieście na oczekiwaniu tego sygnału i całą rzecz tak dowcipnie ukarowaną popsuła zwłoka.

„Dzisiaj nic już z tego nie będzie“ — mówili nakoniec spiskowi w wielu miejscach. Natężone oczekiwanie nie postrzegało przed sobą żadnego kresu, tylko pewną zgubę. O siódmej wszystko jeszcze zostawało na swoim miejscu. Ale i potem mniemano, że szkoła podchorążych dla jakichś nadzwyczajnych przeszkód działać nie zaczęła. Dopiero o wpół do ósmej, dopiero więc w dobre półtorej godziny po terminie, wieść o poruszeniach koło Belwederu przebiegła Warszawę, jak błyskawica. Okrzyki *do broni* rozległy się wtedy na kilku ulicach

i wir bębnow zaalarmował miasto. Z tego naturalnie wypadło, że razem z nami i nieprzyjaciel za broń porywał; a tak, co przed chwilą jeszcze mogło być zejściem, napadem, zaraz obróciło się w otwartą walkę.

Jakiś wyższy oficer moskiewski przyjechał dorożką przed koszary gwardji Wołyńskiej; kazał uderzyć w bębny, i wołał co tylko miał sił: *prawornych ludiej do puszoł!*\*) Byłto goniec z Belwederu. Gwardja Wołyńska poczęła się uzbrajać; lecz nie zaraz stanęła pod bronią. W tej chwili Czetwertyński wyprowadził z pośród Moskali szkołę polskich bombardjerów. Rozkaz parolowy wydany przez wielkiego księcia jeszcze w początkach października, w skutku fermentacji która opanowała stolicę po wypadkach lipcowych, wyznaczył każdemu oddziałowi garnizonu polskiego i moskiewskiego miejsca *alarmowe*, gdzie się pułki na przypadek ruchu w mieście zbierać miały, nie czekając dalszego rozkazu. Punktami alarmu dla pułku Wołyńskiego były place przed arsenałem i giełdą; tam przeto udać się zamierzał.

W koszarach Aleksandryjskich toż samo się stało co w Wołyńskich. Gwardja Litewska postrzegła po godzinie siódmej niezwykły ruch między Polakami; wychodzi więc na dziedzińiec i staje pod bronią, żeby stąd udać się na

---

\*) Zdatnych ludzi do dział! (Przyp. wyd.)

plac Marsowy, który był jej placem alarmowym. Rewolucja ruszyła z miejsca Polaków, a ów rozkaz parolowy Moskali. Dowódca Litewskiego pułku Engelmana niebyło; oficerowie polscy związkowi chcieli zatrzymać Moskali przez wyprowadzenie swych kompani na dziedziniec. Byłoby przyszło do rozlewu krwi, ale co opóźnienie zwichnęło, a co było jeszcze łatwe do naprawienia, zgwałciła zła woła swoich. Lenkiewicz, kapitan od służby, udając jakoby o niczem nie wiedział, staje z dobytą szpadą w bramie i żołnierzom polskim wyjść zabrania, pod pozorem, „że niema na to rozkazu.“ Rozbrojenie gwardji Litewskiej w salach łatwe, na dziedzińcu trudniejsze, było teraz wcale niepodobne. Nadbiegł Kolbersz, podpułkownik grenadjerów, chciał on także, jak kapitan od służby, oczekiwać rozkazu wielkiego księcia, a przynajmniej przybycia dowódcy, jenerała Żymirskiego. Gdy Lenkiewicz i Kolbersz zatrzymują żołnierzy polskich, Moskale tym czasem wymaszerowali z koszar w największym porządku pod dowództwem gubernatora Lewickiego; ten bowiem, jak tylko powstał hałas w mieście, wsiadł na konia, poleciał do koszar Aleksandryjskich i gwardję Litewską, korzystając z bezczynności związkowych, zaprowadził na plac Marsowy. Grenadjery powinni byli ten pułk dopędzić; mogli go byli na drodze przymusić do złożenia broni, wszakże sami zaledwie zdołali wyjść na dziedziniec po długich sporach z Lenkiewiczem

i Kolberszem. Jeden tylko Kiekiernicki ściśle dopełnił w tych koszarach zleczonej sobie powinności. Wyprowadził obiedwie kompanje 1-go bez oporu i zaraz udał się z niemi na Pragę. Urbański, chcąc naprawić złe, które w znacznej części poszło z jego winy (jemu bowiem wypadło Lenkiewicza albo pierwej wprowadzić do związku, albo teraz surowo ukarać) oświadczył oficerom związkowym, że dotąd wszystko działo się podług planu, że ich obowiązkiem jest iść z grenadjerami za gwardją Litewską, i obserwować ją na placu Broni. W tym momencie przyjeżdża do koszar generał Żymirski. Zastaje kompanje polskie pojedynczo zebrane na placu, łaje oficerów, że porozdawali ładunki i pyta z czyjego to się stało rozkazu? „Kto kazał nabijać broń?” — zawołał Żymirski, — grenadjery, zsypać proch z panewek!” poczem zaraz ruszył za gwardją Litewską w kolumnach bataljonowych na plac Marsowy, który był placem alarmowym i dla pułku grenadjerów. Z pomiędzy oficerów związkowych, jedni mniemali, że generał ten był uwiadomiony o wszystkim, (bo miał być uwiadomiony przez Paszkowicza), nie przedsiębrali zatem przeciwko niemu żadnych gwałtownych środków, rozumiejąc, że idzie za radą Urbańskiego, że chce działać w duchu powstania, tak jednak żeby się przed czasem nie skompromitował. Drudzy odgadnęli jego zamiary nienajszersze, postanowili oddzielić się z swemi kompanjami i uskuteczniłi to zaraz po wyjściu z koszar. Sześć

kompanji 8, 9, 10, 11, 12 i 2 wołyżerska, pod dowództwem oficerów Czechowskiego, Łaskiego, Klemensowskiego, Roguskiego, Bortnowskiego i Bortkiewicza odłamawszy się za bramą poszły przez *Fawory*, *Zdroje*, ulicą Zakroczymską do arsenału; po drodze, nad *Zdrojami*, już oni spotkali pikietę Kiekiernickiego, który zajmawszy wojennie most wiodący od Żoliborza na Pragę, przystęp do niego aż w tej stronie czatami sobie oświecał. Reszta grenadierów pod Żymirskim zajęła stanowisko na placu Broni, żeby nasamprzód przez czas niejaki obserwować gwardję Litewską, a potem z nią razem pójść pod rozkazy wielkiego księcia.

Taka sama scena, tylko z lepszym skutkiem dla rewolucyi, miała miejsce w koszarach Sapieżyńskich. Konstanty okazywał czwartemu pułkowi szczególne względy; spiskowi przeto, żeby go tknąć do żywego, puszczały na kilka dni przed 29-ym paszkwile dość obelżywe, podając w wątpliwość ducha żołnierzy, charakter oficerów „jakoby łaska carewicza uczyniła ich partyzantami Moskwy, nieprzyjaciołmi kraju i t. d.“ Te przymówki osiągnęły cel zamierzony: nikt się nie unosił gorętszą chęcią zadania nieprawdy podobnym potwarzom jak pułk czwarty. Gdy się zbliżała pora działania, trudno było wstrzymać zapał żołnierzy; Przeradzki i Kosicki rozdali ładunki; kompanie zbywające od warty stały pod bronią na dziedzińcu; nakoniec podporucznicy Wyszkowski, Lubowicki, Święcicki wyprowadzili je z koszar gdy im

w bramie zachodzi drogę Bogusławski, dowódca pułku. Nastąpiła między nim i wspomnianymi oficerami zapalczywa kłótnia; trzeba go było nawet przewrócić na ziemię; tyle sobie wstrętu czyniła cała starszyzna w wojsku polskim od sprawy rewolucyjnej. Bogusławski ustąpił tylko przemocy spiskowych, o mało życiem nie przypłaciwszy swego uporów. Nad tym oddziałem 4-go linjowego, spotkawszy go na drodze, objął zaraz dowództwo kapitan Roszlakowski; udał się on przez ulicę Franciszkańską na Nalewki, i przybył w sam czas pod arsenał, gdzie właśnie rozpoczęła się żywa i krwawa akcja.

Arsenału strzegły dwie kompanje 5-go linjowego, jedna pod dowództwem Czarneckiego na ulicy Przejazd, między pałacem Mostowskich a koszarami gwardji artylerji konnej, druga z przeciwnej strony pod dowództwem Lipowskiego między barjerami rajszuli artylerji a małym placem przy ulicy Nalewki. Rozstawione ich poczty chwyciły przebiegających tędy oficerów rosyjskich. Tu zostali wzięci i osadzeni na odwachu przy arsenale jenerałowie Essakow i Engelman, dowódcy dwóch pułków pieszych gwardji rosyjskiej, oraz kilkunastu innych młodszych oficerów. Wtem dają znać, że idą Moskale. W rzeczy samej pułk gwardji Wołyńskiej, jak powiedziałem, ostrzeżony z Belwederu, wystąpił z koszar, podzielił się na dwie części i dwiema ulicami, mając działa na przodzie, ruszył ku arsenałowi. Zaczął

się palić wtedy dom drewniany na Nalewkach. Grenadjery Lipowskiego postrzegają zbliżka nacierający bataljon nieprzyjacielski i przyjmują go ogniem rotowym tak rześistym, że zaraz padło kilkudziesiąt Moskali. W tej samej chwili nadeszła kompanja 4-go pułku i rozwinęła się za arsenałem. Roszlakowski, wspierając grenadjerów Lipowskiego, z równym skutkiem rozpoczął ogień przeciwko drugiemu bataljonowi moskiewskiemu, przybywającemu przez plac za ogrodem Krasińskich pod dowództwem pułkownika Owandra. Strzelanie z obu stron trwało tylko kilka minut. *Wołyńcy* uciekali w największym nieładzie; potem w odległości kilkudziesiąt kroków zatrzymali się na miejscu przez chwilę i zabrawszy trupów ze sobą, na komendę cichym głosem wydaną uskuteczнили w porządku dalszy odwrót. Arseniał został ocalony. Kiedy kompanja Lipowskiego odpierała nieprzyjaciela, grenadjery Czarnckiego rozstrzelali jenerała Blumera — który przybywszy pod arseniał chciał mieć mowę do nich, a potem prowadzony na odwach, żołnierzy rozbrajać usiłował. Poległ on od dwóch tylko kul, lecz wieść zaraz rozniosła, że go tyle strzałów trafiło w głowę i w piersi, ile niesprawiedliwych wyroków podpisał z rozkazu carentwiczego. Po odparciu nieprzyjaciela przybyli pod arseniał grenadjery gwardji i dwie kompanje pułku 3-go. Nadeszła także szkoła podchorążych. Zgromadzoną masę wojska w tych punktach trzeba było rozdzielić, ażeby działać

skuteczniej. Tu nastąpiło udzielanie sobie wzajemnych wiadomości o wszystkim co zaszło na tyłu punktach stolicy. Stan rzeczy nie był pomyślny: nic się nie udało; jednakże spiskowi nie tracili ducha. Postanowili się tu bronić do upadłego, szczególnie zaś strzedz oręża i pieniędzy, arsenału i banku. Aleksander Łaski postawił grenadjerów pod pałacem Mostowskich, dla przerzedzenia cokolwiek wielkiego, wszelkie dalsze rozporządzenia utrudzającego natłoku pod arsenałem. Grenadjery zrobili w tem miejscu barykadę, za którą postawiono działa obrócone wylotem do ulicy Dzikiej.

Gresser, adjutant w. księcia, cudownym prawie sposobem uniknął losu Blumera. Puścił on cugle swemu koniowi chcąc się przemknąć do koszar Wołyńskich; zatrzymany przed pałacem Mostowskich, pytał w imieniu wielkiego księcia, kto tu dowodzi? Grenadjery dali kilkadziesiąt razy ognia do niego; wśród tego gradu kul zginął tylko jadący za nim kozak; on sam spadł z konia, otrzymał kilka ran ciężkich, ale nie śmiertelnych. Odprowadzono go na odwach arsenałowy.

Patrole wysłane za nieprzyjacielem doniosły, że gwardja Wołyńska postępowała przez Muranów na plac Broni. Pułk ten niewielką miał już ochotę do boju. Na Muranowie czoło kolumny Owandra zetknęło się z czołem bataljonu saperów; niepodobna było minąć się; Moskale weszli z saperami w układy, żądając wolnego przejścia i ofiarując je nawzajem. Gdy się

z naszej strony na to zgodzono, ruszył dalej ten bataljon *Wołyńców* i połączył się na placu Broni z pułkiem Litewskim, uważanym zbliżka przez grenadierów Żymirskiego, który całą noc przepędził w tej wątpliwej medjacyjnej postawie; druga część gwardji Wołyńskiej osadziła swe koszary i przyległe domki. Ten bataljon saperów wyszedłszy z koszar musiał także stoczyć spór zacięty z dowódcą swoim Majkowskim na placu Broni. Majkowski nadbiegł z miasta zadyszany, dając rozkaz bataljonowi, żeby do koszar powrócić; oficerowie związkowi, Karśnicki, Gawroński, Kołtunowski, Malczewski, Cerner, przekładali mu „że bataljon musi się połączyć z narodem“; gdy to nie skutkowało, porucznik Malczewski strzelił do niego z pistoletu, chybił go, ale kula przebiegając koło ucha dowódcy „szepnęła mu przyzwoitszą radę,“ jak się wyrażali sapersy, Od tego czasu nie można się było skarżyć na Majkowskiego: całym sercem przyłgnął do rewolucji.

W czasie walki pod arsenałem Felix Nowosielski, podporucznik z bataljonu saperów, wyprowadził szkołę artylerji, do której był przykomenderowany jako oficer inspekcji. Dwa działa, dane do mustry tej szkole, stały na dole w gmachu przy ulicy Miodowej, gdzie uczniowie artylerji mieli swe kwatery; lecz nie było koni. Nowosielski kazał zaprządz konie od karety Sowińskiego, komendanta szkoły aplikacyjnej; ponieważ zaś opóźniono się z wykonaniem tego rozkazu, zatoczyli podoficerowie

własnymi rękami działa pod arsenał. Podoficer Korzeniowski sprowadził ładunki z laboratorium. Oddział Nowosielskiego w drodze do arsenału strzelił do przelatującego na koniu Bezobrazowa, ze sztabu w. księcia. Żeby nie tracić daremnie czasu, artylerzyści zażądali potem siekier ze sklepu żelaznego na ulicy Długiej, dla wybicia drzwi arsenałowych. Według planu, jak wspomniałem, broń miała pozostać nietknięta w arsenale; lecz teraz, przy tylu zawodach, przy wzrastającej coraz liczbie nieprzyjaciela, który już był od nas mocniejszy, wypadało rozdać ten szacowny zapas ludowi. Wkrótce przybyło mnóstwo rzemieślników; silili się oni grube drzwi dębowe wysadzić z zawias. Nowosielski niecierpliwy kazał w oknach kraty wyłamać. Z okien tedy wynoszono karabiny, pałasze, pistolety. Nakoniec brama wyleciała, ale broń palna nie miała skałek; Stolzman wskazał sekretne miejsce, gdzie skałki były schowane, co bardzo ułatwiło uzbrojenie z początku małej, potem coraz większej liczby osób przybywających po broń, nareszcie w godzinę potem całego ludu warszawskiego wysypującego się ze wszech stron niezmiernym gminem. Ze dwóch szczególniejszych punktów lud ten był poruszony w jednej porze: na Krakowskim Przedmieściu i na Starem Mieście; tam przez wojskowych, tu przez cywilnych. Zajczkowski, komendant odwachu na Krakowskim Przedmieściu, wpadł z Dobrowolskim Józefem, jak miał sobie polecone, do teatru

Rozmaitości, z dobytym pałaszem w rękę i zawołał: „Panowie, w najlepsze się bawicie, kiedy Moskale naszych w pień wycinają!“ Nadzwyczajna, okropna nowina dla wytwornego świata śmiejącego się na komedji. Publiczność zebrana w teatrze wybiegła na ulicę i rozniosła postrach; Zajązkowski i Dobrowolski pospieszyli dalej z wartą, alarmując okrzykiem *do broni!* Podwale, Senatorską, Miodową; koło Zygmunta zabrali młodego Gendra, oficera z pułku ułanów carewicza, i stanęli pod arsenałem, kiedy bramę jego wybijano — w chwili ataku nieprzyjaciela.

Wszędy z trzaskiem zamykano sklepy, domy. Latarnie pogasły. Jedna część mieszkańców kryła się przed rozruchem, którego wypadki mogły być tak wątpliwe; druga patrzyła nań z okien, z góry. Śmielsi, ciekawsi wybiegali na ulice i zbierali tysiące bajecznych wieści. Wogóle jednak miasto obróciło się zaraz w pustynię; tylko lud prosty, rzemieślnicy, szewcy, krawcy, kowale, ślusarze odrazu o co rzecz idzie zrozumieli. Na Starem Mieście, pośród tradycji 94 roku, na tym samym klasycznym bruku, gdzie za Kościuszki tyłu zdrajców wisiało—Ksawery Bronikowski, Józef Kozłowski, Włodzimierz Kormański, Anastazy Dunin, Dębiński, Żukowski i ja oczekiwaliśmy sygnału do działania z tą samą niecierpliwością, która dręczyła spiskowych na wszystkich innych punktach stolicy. Godzina siódma już wybiła, a nie było końca próżnemu oczekiwaniu. Bronikow-

ski poszedł na zwiady ku Nowemu Światu. Za pół godziny przyniósł najosobliwszą wiadomość: „że Konstanty teraz dopiero wracał do Belwederu z teatru francuskiego.“ Coraz niespokojniejsi o los powstania, usłyszawszy zdała głos bębna, wychodzimy na rynek, krzycząc *do broni, do broni!* Właśnie nadciągały dwie kompanje 8-go linjowego (z pobliskich koszar. Jeden z oficerów zapytany przez nas: „czy czas już działać?“ odpowiedział z udanem zadziwieniem: — „o jakim działaniu panowie mówicie? My tu jesteśmy—dodał—bo to jest nasz plac alarmowy.“ Ta odpowiedź pokazująca wygórowaną ostrożność miała swe słuszne powody, bo jeżeliby się rewolucja nie udała, mniej skompromitowani oficerowie mieli zawsze w rezerwie ów rozkaz parolowy, który ich wyjście z koszar usprawiedliwiał przed w. księciem. Po chwili jednak krzyki z Podwała, z Piwnej ulicy i widok żołnierzy zwabiły na rynek mnóstwo mieszkańców Starego Miasta. Przemawialiśmy do nich jakieśmy mogli. Gdy się zebrały cokolwiek większe tłumy, ruszyliśmy z nimi przez ulice Senatorską i Miodową ku arsenałowi. Obiedwie kompanje postępowały za nami. Na Senatorskiej zatrzymały się i zajęły dziedziniec Prymasowskiego pałacu. O paręset kroków od arsenału na ulicy Długiej już była wielka masa; coraz więcej łączyło się ludu z kolumną, którąśmy przyprowadzili ze Starego Miasta; wszędzie brzmiały rewolucyjne odgłosy. W tym właśnie momencie nasi dali ognia

pod arsenałem do nacierającej gwardji Wołyńskiej. Wrażenie tych pierwszych strzałów było tak silne, że co tylko przybyło z nami, co nadeszło z Podwala i z Nowego Miasta, pierzchno w mgnieniu oka i nie wiem, gdzie się podziało, tak, że tylko sami spiskowi zostali na ulicy. Niemasz nic trwożliwszego nad lud bezbronny w pierwszych chwilach; zbiegowiska są najpierwej tylko tłumami ciekawych. Ten chwilowy popłoch przeszedł, myśmy znowu pobiegli na Stare Miasto i lud znowu zaczął się zgromadzać, rozszerzając z pierwszego przerażenia wieść, „że Moskale naszych wycinają“—co nie mało pomogło do podburzenia pospólstwa, ugrupowania go w różnych punktach stolicy i ściągnięcia z najodleglejszych przedmieść ku środkowi.

Obaczmy teraz, co się stało z owemi czterema po tyle razy wspomnianemi działami, które miały strzelać na wiatr z wyniesienia pod koszarami Radziwiłłowskiemi, w czasie walki podchorążych z jazdą moskiewską—bo to jest właśnie chwila, w której przychodzi do skutku wyprawa Nieszokocia, w planie sprzyśnięcia skombinowana z wyjściem sześciu kompanji z koszar Ordynackich.—Artylerja, na którą powstanie liczyć mogło, składała się z baterji Chorzewskiego (ośmiu dział ciężkich) w koszarach artylerji gwardji, z trzech dział w arsenale, z dwóch dział lekkich danych do mustry szkole artylerji na ulicy Miodowej, które, jak się rzekło, Nowosielski wyprowadził,

i z czterech dział bombardjerów. Te ostatnie działa przeznaczono do zajęcia stanowiska pod koszarami Radziwiłłowskiemi. Szkoła bombardjerów, czy to skutkiem opieszałości w przyjmowaniu oficerów z innych broni, szczególnie od artylerji, czyli też dla niedostatecznego porozumienia się w tej mierze między naczelnymi spiskowcami, którzy obowiązki inicjacji jedni drugim przekazywali, częstokroć i bez przekonywania się potem, jak dopełnione zostały, za ledwo na dzień jeden przed rewolucją weszła do związku, aczkolwiek wszyscy uważali tę broń jako będącą w nim oddawna. Wprawdzie na kilka jeszcze tygodni przed 29. oficerowie tej szkoły Nieszokoć, Janusz Czetwertyński, Chajęcki (z artylerji pieszej) przedsiębrali z własnego domysłu pewne środki na wypadek powstania. W tym celu starali się oni opatrzyć lepszy dozór przy koniach artylerji bombarjerów, oddalonych od dział, powierzając go tylko podoficerom znanym ze sposobu myślenia patryjotycznego: toż nie zaniebdywali dawać do zrozumienia żołnierzom, iż w razie jakiegokolwiek zamieszania w mieście ich położenie byłoby krytyczniejsze, niżeli innych oddziałów garnizonu polskiego, ponieważ bombardjery mieli, jak widzieliśmy, swe kwatery w koszarach gwardji Wołyńskiej, a zatem byli pośród Moskali, którzyby się na nich pierwszych rzucić i wyciąć ich mogli. Lecz te wszystkie przygotowania działy się bez wiedzy naczelników związku i pochodziły tylko z

przezorności oficerów, których nikt ani o środkach, ani o terminie rewolucji nie uprzedził. Dopiero w wigilję 29 listopada, Stoltzman z polecenia Wysockiego uwiadomił Nieszokocia, instruktora szkoły, posiadającego zaufanie kolegów i żołnierzy, że powstanie ma być zrobione nazajutrz wieczorem i że związek jemu poleca, aby cztery działa przyprowadził o godzinie naznaczonej (6-ej) pod koszary Radziwiłłowskie. Oficer ten, chociaż tak późno wezwany do dopełnienia obowiązku połączonego z nadzwyczajnymi trudnościami, przyrzekł wszelką pomoc ze swej strony, lecz nie bardzo chciał wierzyć, żeby to miało być prawdą, co mu Stoltzman powiedział, rozumiejąc, i słusznie, że jeżeli rewolucja potrzebuje armat, powinna była wcześniej o nich pomyśleć. W tem mniemaniu, że nic ważnego nie zajdzie, przesiedział Nieszokoć cały dzień następny w swej kwaterze. Gdy wybiła szósta wieczorem, gdy już było po siódmej, nawet po wpół do ósmej, a żadnego jeszcze ruchu nie postrzegał na ulicach, zwątpił do reszty o wybuchnięciu rewolucji i nie pierwej aż po pierwszych okrzykach *do broni!* wykonywać począł zamysł wystąpienia z działami. Działa stały w polu za obozem saperów, prawie o milę od koszar Radziwiłłowskich, ludzie od tych dział byli w koszarach gwardji wołyńskiej, konie w koszarach artyleryi gwardji, a amunicja w pracowni wojennej. Ileż tu przeszkód do zwyciężenia w czasie tak krótkim! Jednakże Nieszokoć uwiął się ze wszystkim

z niewypowiedzianą szybkością. Czertwertyński miał tego dnia służbę w szkole bombardjerów. Uwiadomiony przez Chajęckiego o terminie powstania, posłał wieczorem kilku ludzi i podoficera do stajen w koszarach artylerji gwardji z poleceniem, żeby konie poubierali: po apelu nie dał dał się on rozejść bombardjerom, a powierzwszy sekret kilku podoficerom, jednym zlecił, żeby żołnierzy w salach mieli gotowych pod pozorem powtórnego apelu przed generałem Bontemps, dowódcą szkoły, drugich zaś wyprawił, żeby mu dali znać, skoro arsenał zostanie opanowany; gdyż dopiero po tem zajęciu zamierzał wyprowadzić szkołę z koszar, niechcąc wcześniej alarmować gwardji Wołyńskiej. Wkrótce wybiegli wysłani podoficerowie z doniesieniem, że się wojsko polskie zbiera koło arsenału. I gwardja Wołyńska, uwiadomiona o rozruchu w mieście przez oficera przybyłego od w. księcia, z bronią występować zaczynała. Wtedy Czertwertyński razem z podoficerami wyprowadził bombardjerów z pośród Moskali; wziął z sobą wartę z głównego odwachu, złożoną nietylko z polskich ale i moskiewskich żołnierzy, pospieszył do koszar artylerji gwardji i ze wszystkiego co uczynił zdał sprawę pułkownikowi Chorzewskiemu, który tę ważną przysługę Czertwertyńskiego przyjął najozwieblej jak tylko być może. Już tam był Chajęcki; nadszedł zaraz i Nieszokoc; zabrał szkołę, wstąpił do arsenału po karabiny dla bombardjerów i przez Leszno (gdyż Po-

wązkowskie rogatki były zajęte przez Moskali) udał się po działa. W drodze na ulicy Lesznie przyłożył się razem z Chojeckim i bombardjerami do odbicia więzienia karmelitów \*), co mu także nie mało czasu zabrało. Prawie w godzinę potem Nieszokoć, pozbierawszy te wszystkie tak rozrzucone materiały swej artylerji, rzeczywiście z czterema działami zaprzężonemi, opatrzonemi w amunicję, okrytemi bombardjerami, wrócił z obozu saperów do miasta przez Wolskie rogatki i wzdłuż ulicy Elektoralnej postępował, aby się udać do kościółka Aleksandra, a stamtąd pod koszary Radziwiłłowskie. Lecz to wszystko było zapóźno! Artylerja ta, nie wiedząc o niczem, trafiła w bliskości banku na oddział strzelców konnych gwardji, którzy po połączeniu się z w. księciem gęste patrole wysyłali do miasta. Dowódca tego oddziału, przyjąwszy dość nikczemnem podejściem od Nieszokocia i bombardjerów hasło rewolucyjne, wziął ich z działami w środek i formując niby tym sposobem asekurację, poprowadził — do carewicza. Stoltzman i Wysocki zapewnili Nieszokocia, że *szasery* były ze strony powstania. Mógł się im powierzyć z ufnością! Jakież było zadziwienie pocziwych bombardjerów, gdy w. książę wysłał naprzeciwko nim podpułkownika Turnę z czułem podziękowaniem, że

---

\*) Gdzie trzymano więźniów politycznych. (*Przyp. wydawcy*).

mu działa w samą porę przyprowadzili i gdy wkrótce potem wyprawił nawet gońca do Petersburga z raportem, że część artylerji polskiej przeszła na jego stronę! Trudno opisać rozpacz Nieszokocia i Chajęckiego. Chcieli sobie obadwa życie odebrać, osobliwie gdy im żołnierze i podoficerowie z powodu spóźnienia tej wyprawy gorzkie, poniekąd i sprawiedliwe czynili wyrzuty. Wstrzymało ich tylko to: że na przypadek, jeśliby w. książę atakował miasto, postanowili działa swe przeciwko niemu obrócić \*).

Po odbiciu arsenału przeciągały z ulicy do ulicy, od przedmieścia do przedmieścia mniejsze, większe tłumy, zgiełkliwe, po większej części już zbrojne. Od Wisły byliśmy panami miasta; wojsko napełniało szczególnie jedną okolicę, Nalewki, place przed pałacem Mostowskich, przed arsenałem, przed bankiem; lud w te miejsca to przyływał to odpływał napowrót. Oczekiwano co chwila napadu nieprzyjaciela z dwóch stron: z Nowego Światu jazdy, a piechoty z placu Marsowego. Wypadało ubezpieczyć to środkowe stanowisko. W tym celu szkoła artylerji wytoczyła trzy działa lekkie z arsenału; dwa pierwej jeszcze przyprowadziła z sobą z ulicy Miodowej. Te

---

\*) Nazajutrz, gdy jeden z generałów, podobno Gerstenzweig, wskazywał bombardjerom, w którą stronę mają obrócić działa na przypadek natarcia od powstańców, Nieszokoc rzekł do niego: „Wybacz jenerale, ale ja do swoich strzelać nie będę—nie tylko ja, ale żaden z moich żołnierzy.“

pięć dział rozstawiono w taki sposób: dwa pod komendą Grabowskiego broniły przystępu od Muranowa, dwa drugie pod komendą Waligórskiego ostrzeliwały plac przed pałacem Mostowskich z za barykady, którą grenadjery na prędcie z cegieł sporządzili; jedno wylotem obrócone na Leszno było pod komendą Nowosielskiego. Ruch ten koło arsenału stawał osobliwy, w swoim rodzaju jedyny widok. Zdaje się, że gdzie tyle zgromadziło się wojska, tyle orężnego narodu, gdzie tylu oficerów wydawało rozkazy, gdzie każdy dowodził, rządził, łajał, powinienby stąd wynikać nieład trudny do opisania, trudniejszy do ukrócenia. A jednak wcale przeciwnie się tam działo. Zdanie mędrsze, roztropniejsze w mgnieniu oka brało swój skutek, a dobra wola każdego zarząd zwierzchni dzielnie zastępywała. Insurekcja bez naczelnej głowy przed wybuchnięciem swoim i przy wzięciu się do oręża wstrzymana najnieszczęśliwszą zwłoką, nie rozbroiwszy nieprzyjaciela, zebrana potem z przypadku, z potrzeby, z instynktu własnego zbawienia w jedną masę, w jeden punkt, postawiła się tu prawdziwie po mistrzowsku w pozycji odpornej i dość groźnej. Wróg nie śmiał na nas napaść powtórnie. W braku gotowej amunicji podoficerowie ze szkoły artylerji, dobrze zasłużeni ojczyźnie tej nocy, przyrządzali ładunki do dział z prochu, którego odrobinę przypadkiem znaleziono w arsenale, kul dobierając ze stosów przed nim ułożonych. Lecz nie było *rasy*: gre-

nadjery i sapery pozrzucali natychmiast rękawice pomimo przenikliwego zimna i rękawic zamiast rasy do wyrabiania ładunków używano. Z tem wszystkim należało obwarować wiele jeszcze odsłonionych punktów, nieprzyjacielowi łatwiejszy dostęp dających, a dotąd ciągle próżnowała główna artylerja garnizonu, baterja Chorzewskiego. Po odejściu bombardjerów i Nieszokocia po działa do obozu saperkiego, pozostali w koszarach artylerji porucznik Czetwertyński i podoficer Gajewski daremno starali się nakłonić tego pułkownika, żeby kogo wyprawił na Pragę po amunicję, której brak powszechnie 'czuć się dawał. Chorzewski wymawiał się rozmaitymi pozorami, Gajewskiego skarcił nawet ostrymi wyrazy. Skuteczniejsze było przełożenie Nowosielskiego. Ten wpadł do koszar i zbliżając się do dowódcy baterji z odwiedzionym pistoletem w rękę, zostawił mu do wyboru śmierć, albo wzięcie prędkiego postanowienia w sprawie narodu. Wtedy dopiero Chorzewski posłał Czetwertyńskiego i podoficera Szadurskiego na Pragę z trzema furgonami i jaszczykiem. Czetwertyński wziął ze sobą eskortę z pod arsenału, pluton 4. pułku pod dowództwem Przeradzkiego; a ponieważ biegała pogłoska, że kirysjery przez Solec przecięli komunikację między Warszawą i Pragę, przeto dla większego bezpieczeństwa wzywał lud po drodze, ażeby w asekuracji szedł za wozami. Lud czynił to z ochotą, bo sam potrzebował kul i prochu. Ta pro-

cesjonalna wyprawa musiała się zatrzymać na Krakowskim Przedmieściu. Patrol saperów, którzy z pod arsenału przeciągnęli pod kolumnę Zygmunta, nadszedł wtedy właśnie, donosząc, że strzelcy konni dali ognia do niego i że tuż za nim pomykają się od Saskiego placu. Furgony mogły być zabrane; lecz sapery ułatwiły im dalszą drogę postępując przeciwko gwardji strzelców konnych, których zmaglili do opuszczenia Saskiego placu. Kiekiernicki od trzech godzin blisko zajmował Pragę; oświecał się na wszystkie strony, połowę mostu kazał rozsunąć, a drzwi magazynu prochowego wybił z postanowieniem wysadzenia go w powietrze, jeśliby był przez silniejszego nieprzyjaciela napadnięty. Gdy swoi przybyli, wydał amunicję, która tym sposobem w godzinę po wyruszeniu furgonów z koszar artylerji dostawiona została. Czetwertyński rozdał zaraz na Pradze parę pak ładunków ludowi, za czem poszło, że wozy o mało zapalone nie zostały przez ustawiczne wokoło nich strzelanie; udzielał i po drodze amunicji pospólstwu, wojsku i artylerji pod arsenałem; resztę działowej ciężkiej amunicji zawiózł do koszar artylerji gwardji.

Zabrakło nakoniec Chorzewskiemu i pozornych wymówek, któreby jeszcze wstrzymać mogły udzielenie baterji tak naglącej potrzebie. Chodził on po dziedzińcu koszar z założonemi rękami, cały we zwłoce, w przemyśliwaniu nad środkami przedłużenia jej do jaknajdłuższego czasu. Pierwej brakowało mu

amunicji, teraz, gdy ta przywieziona została, mówił, że sam z działami bez asekuracji nie może wystąpić na ulicę. Uprzątnięto i tę zawadę. Przyszła natychmiast kompanja grenadierów z pod arsenału. Natenczas oficerowie od piechoty radzili pomiędzy sobą, czyliby nie wypadało przykładnie, to jest śmiercią ukarać tak widocznej niechęci. Los Chorzewskiego był bardzo wątpliwy. Ale Czetwertyński zrobił uwagę, że ten oficer może jeszcze z pożytkiem służyć krajowi, że się nie wymawia od udziału w sprawie rewolucyjnej, tylko jakichś wyższych oczekuje rozkazów. To jedynie, zdaje się, ocaliło Chorzewskiego. Onufry Korzeniowski przemówił do niego przed frontem kompanji asekuracyjnej, „że odtąd bez wyraźnej zdrady nie może dział zatrzymywać w koszarach“. Amunicja armatnia i pistoletowa już była rozdzielona na plutony. Chorzewski rad nierad musiał tedy kazać wystąpić baterji, która około północy ruszyła z koszar i zajęła te pozycje: Orłowski z pierwszym plutonem obrócił się wylotem na Nalewki i Nowolipie; Ekielski i Łabanowski zatoczyli cztery działa na plac Krasińskich, jedno obracając wylotem ku ulicy Freta, drugie na Miodową, a dwa stawiając pod teatrem; Hauke opanował Tłumackie, jedno działo wymierzając z Bielańskiej do Saskiego placu, a drugie na Leszno, skąd był zeszedł Nowosielski.

Ta artylerja wewnętrzną wypełniła obronę. Dla powzięcia dokładniejszego wyobrażenia

o stanie, w jakim się natenczas insurekcja znajdowała, rzućmy okiem na mapę Warszawy. Wszystkie ulice, prowadzące do arsenału obwarowane; przystęp od placu Marsowego i koszar gwardji Wołyńskiej z jednej strony, z drugiej od Nowego Świata dostatecznie ubezpieczony; lud w mnogich oddziałach tu wiódł braterstwo z żołnierzem i krzepił jego ducha swą wiarą, swą liczbą, swą postawą, tam prowadzony przez uwolnionych jeńców stanu, słuchał ich ognistej mowy, albo strzelał na wiatr dla rozrywki: w jednym miejscu odbijał magazyn wódki znieawidzonego monopolisty Newachowicza, w drugim groźnymi odkazami straszył Żydów, pełen ochoty w świętej sprawie, która mu podała oręż do ręki, daleki od rabunków, choć ubogi; reszta majątniejszej stolicy zamknięta na rygle i klucze przed dziełem nic jeszcze zyskownego nie wróżącym chciwości, dumie, egoizmowi albo bojaźni; takie było położenie nasze po północy. Patrole z pod arsenału i nieprzyjacielskie tak konne jak piesze spotykały się czasem; nie przychodziło jednak między nimi do utarczek. Szasery najwięcej dokazywali. Oni, zdaje się, bardziej niżeli sami Moskale pragnęli stłumić powstanie. Bataljon saperów był w ustawicznym ruchu przeciwko tej wiarołomej w sprawie rodaków konnicy. Zajmował kolejno to Krakowskie Przedmieście, to plac Saski, to plac przed bankiem. Gdy Konstantemu o tej porze generał Fanshawe, wysłany na zwiady doniósł, że lud warszawski rozebrał oręż z arsenału, wiadomość ta zrobiła na jego

umyśle nadwyczajne wrażenie. Obróciwszy się do otaczających go generałów zawołał: *Messieurs, pas un coup de fusil!*\*). Przykład Paryża, Bruxelli jednał więc w jego opinii pewną powagę, pewną cześć i warszawskiemu brukowi. Wtej chwili najmniejsza zaczepna demonstracja z naszej strony przeciwko Alejom, osobliwie wykonana z ludem w całej masie, razem z działami—w tej chwili samo pomknienie gwaru rewolucyjnego na Nowy Świat, było, jak sądzę, dostateczne, żeby wziąć w niewolę, lub przymusić do ucieczki Konstantego nic nie wiedzącego, co się działo z jego piechotą, nie mającego z nią żadnej komunikacji, coraz więcej upadającego na duchu w miarę jak rósł odgłos strzałów pospólstwa. Los, który w początkach naraził całe przedsięwzięcie brakiem hasła, który nie pozwolił zejść niespodzianie nieprzyjaciela, nastęrczał teraz spiskowym najlepszą sposobność odwetowania szkód przez to zrzędzonych. Lecz nie było nikogo, coby stanął na czele wzruszonej stolicy! Zamiast tedy wysypać się tym całym różnodźwięcznych gminem rewolucyjnym na Nowy Świat ku Alejom, ażeby tak pilnym okazem zaciętości pospólstwa do reszty zgnębić carewicza, żeby go potem w tryumfie prowadzić przez miasto z rozbrojoną gwardją: insurekcja postanowiła doczekać się świtu w postawie obronnej, w nieczynności jakby z wieszczego przeczucia, że i w dalszych

---

\*) Panowie, ani wystrzelał (*Przyp. wyd.*)

kolejach swoich tylko odpornie ducha w sobie żywić będzie. Nie pochodziło to z obawy, która nie mogła powstać w sercach bijących dla ojczyzny, ale jedynie z niepodobieństwa wzięcia i wykonania takiego postanowienia *razem*, w skutku poprzedniej wspólnej rady. Być także może, iż spiskowi lękali się, aby w czasie takiego napadu na w. księcia piechota moskiewska z tyłu nie wtargnęła do miasta. Cóżkolwiek — bądź, gdzie wszyscy działają, a nikt nie rządzi, tam zwykle łatwiejsza zgoda na to, żeby się bronić, jak atakować. Zaczepne ruchy potrzebują jednego steru. Zresztą podporucznicy, naczelnicy powstania, zbyt mało mieli powagi w wojsku, żeby czegoś podobnego, choćby im to na myśl przyszło, dokazać mogli; starszyznę trzeba było wszędzie, jak widzieliśmy, nakłaniać śmiercią do rewolucji; a lud nie miał nikogo z pośród siebie, wyższego nad siebie, za kimby szedł i słuchał jego wielowładnego skienienia. Tym sposobem rzecz z obu stron nie czyniła dalszego postępu.

O tej wszelako porze (dobrze już po północy) powstańcy zrobili rodzaj zaczepnej demonstracji. Dano znać, że gwardja strzelców konnych zebrana przed kościołem luterskim ciągle niepokoi przeciągające tamtędy tłumy spólstwa, że strzela do nich, broń im odbiera i samopas chodzących wojskowych przytrzymuje. W skutku tej wiadomości dwa działa Haukego ruszyły ulicą Wierzbową na Saski plac pod eskortą kilku kompanji piechoty. Obsadzono dziedziniec Saski. Strzelcy zaraz

pierzchli i nowego strachu nabawili niefortunego carewicza. Co dalej począć? radzili wtenczas Hauke, Czetwertyński wespół z kilkoma oficerami od piechoty. Wypadło z narady wyciągnąć od Zygmuntovej kolumny do banku linję obronną, nadarzającą nieprzyjacielowi jak najmniej sposobności pomykania rekonesansów między ważniejsze punkty, lubnawet wzięcia tyłu powstania. Ten zamysł tak wykonano: na ulicy Bielańskiej został Waligórski z dwoma działami. Część piechoty zgromadzonej na Saskim placu zajęła po prawej i lewej stronie ulicę Senatorską; Hauke ze swoim plutonem i resztą piechoty szedł do kolumny Zygmunta, gdy wtem na wieść, że kirysjery wpadli na Senatorską, wieść popartą turkotem dział Haukego, Łabanowski z Krasińskiego placu dał trzy razy ognia wpodłuż ulicy Miodowej; z tej to okazji patrol 8-go pułku, będącego pod pałacem Prymasowskim, stracił jednego żołnierza. Hauke zatrzymał się przy pałacu Prymasowskim i dopiero nazajutrz zaprowadził stąd swe działa na plac Krasińskich. Ze strony placu Marsowego piechota moskiewska nie zrobiła żadnego poruszenia. Żołnierze od gwardji grenadjerów obserwującej pułk Litewski na placu Broni, ciągle przybiegali wzywając piechotę polską do napadu, zaręczając, że byle się tylko pokazała, gwardja Litewska broń natychmiast złoży. Ze strony w. księcia nic innego nie widziano prócz konnych patrolów, które się co moment jawiły i znikały. Ciągłe odbywał w jego służbie tę smutną a niebardzo

zaszczytną powinność porucznik Męciński na czele rozjazdu szaserów — z którym pierwszy, będąc tego dnia na służbie na Saskim placu, rozpoczął akcję przeciwko ludowi, wprzód jeszcze nim jego pułk z koszar Mirowskich ruszył do carewicza.

Rzeczy zostały w tym kształcie do rana.

Ta noc była dość krwawa; była zabójczą szczególnie dla generałów bądź względami carewicza za dawne i wierne usługi zaleconych zgrozie publicznej, bądź też przez niewczesną przezorność wahających się przystąpić do sprawy narodu. W rządzie tamtych! polegli już Hauke, Trębicki, Blumer, Meciszewski. Z ostatnich ten los spotkał tylko Stanisława Potockiego i Siemiątkowskiego — a powinien był z słusniejszego daleko wymiaru sprawiedliwości dotknąć Roźnieckiego, Krasieńskiego, Kurnatowskiego. Lecz najgorsi ocaleli; mniej występnych, jak się często zdarza, dosięgła zemsta, w początkach najzapalczywsza. Zgon Potockiego był okropny. Starzec ten, sprowadziwszy z drogi powinności względem ojczyzny sześć kompanji wyborczych, które nadciągały z koszar Ordynackich w pomoc szkole podchorążych, nie przestawał i potem demoralizować wojska, rozbrajać ludu. Jakaś fatalna niemętność zaślepiła go w tych szkodliwych zabiegach; jakieś złe, opaczne widzenie rzeczy musiało opanować jego duszę w tych wielkich chwilach, że się z taką zaciętością miotał na wszystkie strony przeciwko powstaniu biorącemu górę. Potocki nigdy nie był złym Pola-

kiem: ale tą razą nic na nim nie wymogły ani prośby ani przestrogi. Obiegłszy bez skutku całe niemal miasto, zjawia się ten generał koło północy przed kompanją grenadjerów 5-go linjowego, zajmującą przystęp do Leszna, między komisją skarbu a pałacem Mostowskich. Chce i tu nawracać żołnierzy, wreszcie dowódcy ich, Lipowskiemu, daje rozkaz, żeby szedł za nim z kompanją do Belwederu. W tej samej chwili kilku cywilnych przybiegło do nieznanego sobie oficera przechadzającego się na Tłumaczkim z założonemi rękami, o kilkanaście kroków od miejsca tej sceny. „Potocki rozbraja żołnierzy“ — mówili do niego ci cywilni. „To mu palcie w łeb“ — odpowiedział ten oficer i zaraz odszedł dalej. Był to Zaliwski.

W rzeczy samej ciż sami przyskoczyli natychmiast do Potockiego, zerwali pióro z jego kapelusza i przy pomocy pospólstwa w małym ustępie ścisnęli do koła. Potocki zrazu broni się szpadą, a gdy mu tę złamano, pięściami odpiera nacierających. Długo trwały zapasy starego generała z pospólstwem; nakoniec obalony na ziemię po obdarcu szlif, zbity, skrwawiony, już miał znaleźć bliski ratunek w patrolu nadbiegających żandarmów, gdy kilka wystrzałów z szeregu grenadjerów wszelką pomoc daremną uczyniło. Rany nie pozwoliły mu przeżyć. dnia następnego.

Siemiątkowski zginął na Saskim placu, prawie zniewolony do wystąpienia przeciwko rewolucji przez pułkownika Skrzyneckiego, który przybywszy do stolicy, grał w wista w

pomieszkaniu Siemiątkowskiego, kiedy się akcja w mieście rozpoczynała. Rzecz pewna, że przyszły wódz powstania narodowego uważał jego pierwsze uliczne początki za łatwe do pokromienia. Poczytywał to nawet za punkt honoru wojskowego. On poradził Siemiątkowskiemu, wążliwemu co ma począć z sobą, żeby się bezzwłocznie udał tam, gdzie go wzywały obowiązki szefa sztabu, gdzie go wzywało niebezpieczeństwo cesarzewicza. Siemiątkowski wahał się jeszcze; wtedy Skrzynecki rzekł do niego: „co powiesz jenerale w. księciu nazajutrz, czem się usprawiedliwisz przed nim, *gdy on to wszystko uspokoi?*“ *Allez et dites à Monseigneur que je suis corps et âme à lui* <sup>1)</sup>). Tak myślał Skrzynecki w sprawie, która go miała zawieść pod Wawer i Ostrołękę na czele oczyszczonych szyków. Siemiątkowski usłuchał fatalnej rady — siadł na konia — znalazł prawie za drzwiami, o kilkanaście kroków od swego domu oddział saperów i kompanję grenadjerów i zaraz do żołnierzy zaczął przemawiać górnje, ostro, jak jenerał posłuszny tylko w. księciu. W odpowiedzi przeszła go śmiertelnie kula Balińskiego, podoficera z kompanji 8. grenadjerów gwardji, którzy, dość szczególnym trafem, wysłani na patrol w inną wcale stronę, wracali pod arsenał przez dziedziniec Saski.

---

1) Jedź i powiedz w. księciu, że jestem mu wierny duszą i ciałem (*Przyp. wyd.*). Te szczegóły opowiadał obecny temu zdarzeniu Noffok i sama pani Siemiątkowska, z żalą po stracie męża, którego śmierć przypisywała Skrzyneckiemu.

4161/26 1

Biblioteka Główna  
Akademii Obrony Narodowej

7723/1



11-007723-000-0

WOLNA BIBLIOTEKA POLSKA.

Dotąd ukazały się:

1. *Słowacki*. Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską.
2. *Mochnacki*. Noc 29 listopada r. 1830.

*Cena tomiku 25 fenigów.*